

STEPHEN BAXTER

George i kometa

(George and the Comet)

Z "NF" 12/98

Przeistoczenie nastąpiło łagodnie, bezwstrząsowo. Nie ocknąłem się raptownie i nie stwierdziłem od razu, że zostałem odmieniony. Świadomość wracała stopniowo, jakby ktoś powoli zwiększał natężenie światła.

Leżałem na wznak i czułem się jakoś dziwnie. Jestem - to znaczy, byłem - dużym mężczyzną. W młodości sporo grywałem w rugby, teraz jednak miałem wrażenie, że jestem mały i lekki, i że może mnie porwać lada podmuch wiatru.

Niebo, w które się wpatrywałem, także było dziwne. Co najmniej połowę zajmowało gigantyczne słońce - chore, czerwone, wzdęte, pokryte płomienistymi bliznami i czarnymi plamami. Wprost nade mną wisiał jasny księżyc (tak mi się początkowo wydawało). Kulisty obiekt, który ciągnął za sobą gazowy warkocz odchylający się od słońca.

Nagle uświadomiłem sobie, że to nie żaden księżyc, tylko kometa. Co się dzieje, do wszystkich diabłów?

W moim polu widzenia pojawiła się małpia twarz, futrzasta maska, zza której wpatrywały się we mnie zaskakująco błękitne oczy.

- Słyszysz mnie? - zapytała małpa. - Pamiętasz, kim jesteś?

Zamknąłem oczy. A więc to tak. Najwyraźniej leżałem w łóżku w swoim mieszkaniu, pogrążony w nocnym koszmarze, który dopadł mnie po koszmarnej nocy. Miałem 32 lata, byłem kierownikiem średniego szczebla w firmie komputerowej. Po całym dniu użerania się z tymi z dołu i z góry często nie potrafiłem się odprężyć; godzinami czekałem na sen, aż wreszcie wpadałem w ten nieprzyjemny stan między snem a jawą, gdzie grząłem wśród ponurych majaków.

Tak więc wiedziałem już, co się ze mną dzieje, ale wciąż nie mogłem sobie przypomnieć, co robiłem wczoraj. Ba, nie miałem nawet pojęcia, jaki to był dzień tygodnia.

Coś zakłóciło moje rozmyślenia: ostry ból w policzku.

Niechętnie otworzyłem oczy. Schorowane słońce i kometa tkwiły tam, gdzie poprzednio, ja zaś spostrzegłem, że oddzielają mnie od nich gałęzie jakiegoś dużego drzewa. Mój małpi przyjaciel wisiał na jednej z nich, uczepiony ręką i stopą. Miał smukłe, bardzo zgrabne ciało, tyle że obleczone w skórę co najmniej trzy numery za dużą; zwijała się wokół nóg i ramion w obszerne fałdy. Jego oddech pachniał świeżym drewnem.

Małpa szczypała mnie w policzek.

Uniosłem ramię, by ją odepchnąć, i ponownie ogarnęło mnie uczucie nadzwyczajnej lekkości, niemal bezcielesności. Mignęła

mi moja ręka: odniosłem wrażenie, że jest porośnięta jasną sierścią, ale postanowiłem chwilowo nie zawracać sobie tym głowy.

- Wiem, co myślisz - przemówiła ponownie małpa piskliwym głosikiem. - To nie sen. Wszystko dzieje się naprawdę. Przez tydzień robiłem, co mogłem, żeby się obudzić, więc możesz od razu...

- Odczep się! - zaskrzeczałem.

Zaskrzeczałem? Dobry Boże, mówiłem głosem Kaczora Donalda! Potarłem szczękę i stwierdziłem, że mam niedużą, okrągłą twarz pokrytą szorstkim futerkiem.

- W porządku. Jak sobie chcesz - powiedziała małpa, po czym rozprostowała wszystkie cztery kończyny. Skóra naciągnęła się, upodabniając stworzenie do niedużego włosatego latawca. Mój znajomy, niczym wytrawny gimnastyk, wykonał dwa obroty wokół gałęzi, a następnie zwolnił uchwyt i poszybował, niktąc mi z oczu.

Wiele lat temu widziałem coś takiego w zoo. Latający lemur o egzotycznej nazwie. Kolugo?

Czemu miały mi się przyśnić latający lemur?

A czemu nie?

Z całej siły zacisnąłem powieki.

Jednak świat nie chciał zniknąć, mnie zaś robiło się coraz bardziej niewygodnie. Leżałem na czymś gryzącym jak siano i coś kłuło mnie w łydki.

Westchnąłem, po czym znowu otworzyłem oczy. Ogromne słońce wisiało wciąż w tym samym miejscu: gigantyczna kopuła poznaczona wypełnionymi ogniem basenami i mrocznymi otchłaniami tworzącymi niemal przemysłowy krajobraz. Te czarne, ziejące dziury trochę przypominały prawdziwe plamy słoneczne, które oglądałem na fotografiach.

Podparłem się oburącz - poczułem pod rękami liście i gałązki - i usiadłem. Przyszło mi to bez większego trudu, choć czułem się tak, jakbym miał na sobie zbyt luźne, ciężkie futro. Oderwałem jedną rękę od podłoża, podniosłem ją, przysunąłem do oczu.

Była nieduża, wąska, trójpalczasta. Paznokcie były płaskie i twarde, dłoń jasnorożowa, wierzch ręki porastała popielatobrazowa sierść. Między palcami znajdowały się półprzezroczyste membrany - patrząc pod światło, wyraźnie widziałem sieć cieniutkich żyłek; podobna membrana, tyle że grubsza (albo po prostu skóra), zwisała z przedramienia. Pokrywało ją delikatne futerko w rozmyte pasy. Podniósłszy ramiona stwierdziłem, że te skórzaste płachty sięgają aż do kabłąkowato wygiętych nóg. Nogi również były nimi połączone. Wbiłem paznokieć w jedną z membran i poczułem ostry ból. A więc ten sporo za luźny strój stanowił część mnie.

Ja również byłem małpą, taką skaczącą z drzewa na drzewo, leśnym VIP-em. Roześmiałem się, ale szybko umilkłem, ponieważ z

mojego gardła wydobyło się przeraźliwe skrzeczenie.

Siedziałem na jednym z najwyższych konarów ogromnego drzewa. Usiłowałem dojrzeć cokolwiek przez zaslonę gałęzi i liści, ale mój wzrok nie był w stanie dotrzeć do ziemi otulonej ciemnozielonym cieniem. Nagle zaszeleściły liście i mój przyjaciel wylądował przede mną lekko niczym wróbel. Jego rozpostarte błony lotne natychmiast pozwijały się w fałdy. Miał niedużą, delikatną twarz z długim pyszczkiem, ruchliwymi nozdrzami i małymi ustami.

- Boże! - powiedział. - Dopiero teraz zdałem sobie sprawę!

- Z czego?

- Że mówisz po angielsku. O Boże!

- I co z tego?

- Nie rozumiesz? Przecież równie dobrze mógłbyś być starożytnym Etruskim! - Chlipnął i otarł łzę włochatą ręką. - Chociaż, może wszystko zostało z góry zaplanowane w ten sposób?

Miałem wielką ochotę ponownie zamknąć oczy.

- Wybacz, ale nie wiem, o czym mówisz.

- Och, przepraszam. - Spojrzał na mnie wilgotnymi, ludzkimi oczami. - Nazywam się George Newbould i mieszkałem w Londynie. Ostatnią datą, jaką pamiętam, jest rok 1985. Naszej ery - dodał pośpiesznie.

Otworzyłem usta, zamknąłem je, otworzyłem ponownie.

- Phil Beard. O co chodzi z tą datą? 1985? Nic nie rozumiem. Który rok mamy teraz?

Odruchowo podrapał się za sterczącym uchem.

- A więc wie pan już, że to nie sen?

- Niczego na razie nie wiem i... - Zdesperowany, potrząsnąłem głową. - Czy miałem jakiś wypadek?

Uśmiechnął się, odsłaniając garnitur doskonale równych zębów.

- W pewnym sensie. Wiem niewiele więcej od pana, ale... eee... obudziłem się trochę wcześniej i zdążyłem wyrobić sobie pogląd na pewne sprawy. Byłem nauczycielem przedmiotów ścisłych w szkole średniej, więc wiem co nieco o tym i owym, toteż...

- Czy możemy zostawić sobie pański życiorys na później?

- Tak, oczywiście. Bardzo przepraszam. Krótko mówiąc, wydaje mi się, że zostaliśmy zrekonstruowani.

Szarpnąłem jedną z fałd.

- Zrekonstruowani? W jaki sposób? A tak w ogóle to czemu ktoś miałby mnie rekonstruować? Nie byłem chory ani nie umarłem...

- W jaki sposób? Przypuszczalnie na podstawie fragmentu DNA pobranego z kawałka paznokcia albo zęba zachowanego w skamielinie. Podobną technikę stosuje się przy klonowaniu.

W skamielinie? Spojrzałem na wzdęte słońce i zadrzałem.

- Dlatego mamy problemy z pamięcią. Oryginalny Phil Beard obciął sobie paznokcie i żył dalej, natomiast nowy, odtworzony na podstawie jednego z tych paznokci, co prawda ma świadomość bycia Philem Beardem, ale jest pozbawiony szczegółowych

wspomnień. Jeśli zaś chodzi o to, kto to zrobił, to nie mam pojęcia. - Przechylił głowę i spojrzał w niebo; blask komety padł na jego twarz, podkreślając wystające kości wokół oczodołów. - Kto wie, czy ludzkość jeszcze istnieje? Może światem rządzą teraz mrówki? Albo może życie takie, jakie znamy, to znaczy opierające się na starym, dobrym DNA, w ogóle wymarło, a jego miejsce zajęły organizmy zbudowane ze związków krzemu? A może...

- George... - Bardzo się starałem, żeby mój głos brzmiał jak najnormalniej. - W jaki sposób stałem się skamieliną? Gdzie jesteśmy? Który mamy rok?

Wskazał kciukiem niebo.

- Myślę, że to nasze słońce. Przeistoczyło się w czerwonego olbrzyma. Który mamy rok? Mniej więcej pięciomiliardowy naszej ery.

Potarłem porośnięty sierścią podbródek.

- A więc od roku 1985 minęło jakieś pięć miliardów lat, słońce zamieniło się w czerwonego olbrzyma, ludzkość dawno wymarła, a jakieś superistoty z przyszłości zrekonstruowały mnie jako małego, futrzastego Batmana.

Zerknął na mnie z ukosa.

- Tak, w ogólnym zarysie tak to właśnie wygląda. Ale pan w to nie wierzy, prawda?

- Ani w jedno słowo.

Wzruszył ramionami i rozpostarł żagle.

- Jak pan sobie życzy.

- Hej, zaczekaj na mnie! - Usiłowałem wstać, ale nie zdołałem utrzymać równowagi i upadłem twarzą w liście. - Co się z tym robi? Macha?

- Nie, leci pan jak szybowiec. Kąt nachylenia płaszczyzny nośnej reguluje się ruchami kciuków. O, właśnie tak!

Chwilę potem, w blasku wiekowego słońca, George i ja szybowaliśmy między konarami drzewa.

Na drzewie rosły owoce. Łaziłem wśród najwyższych gałęzi i kosztowałem wszystkie po kolei. Najsmaczniejsze okazały się słodko-kwaśne czerwone niby-jagody. Spróbowałem również młodych liści; co prawda, były pozbawione smaku, ale najświeższe zawierały mnóstwo orzeźwiającej, chłodnej wody, którą ugasilem pragnienie. George powiedział, że do tej pory padało tylko raz i że zdołał nałapać trochę wody w miseczki zrobione z liści.

Z młodych, giętkich gałązek utkał sobie coś w rodzaju kokonu, po czym wymościł go liśćmi, dzięki czemu uzyskał schronienie o dość szczelnych ścianach. Początkowo bardzo mnie to rozbawiło.

- Przecież nie potrzebujesz żadnej osłony! - wykrzyknąłem i zatrzepotałem błonami lotnymi. - Jest ciepło, prawie bezwietrznie, oprócz nas nikogo tu nie ma... Chyba że się mylę?

- Nie o to chodzi, panie Beard. Jestem nauczycielem z

zachodniego Londynu. Nie przywykłem do stylu życia latającego lemura. Czuję się bezpieczniej w pomieszczeniu ze ścianami, z dachem nad głową.

Parsknąłem szyderczo... ale jak tylko zachciało mi się spać, odruchowo skierowałem się do prymitywnego domku George'a. Kiedy tam wszedłem, spojrzał na mnie, nie przerywając czynności, którą był pochłonięty - robił łuk ze sprężystej gałęzi i kawałka liany - po czym bez słowa odwrócił wzrok. Zaszyłem się w najciemniejszy kąt i szczelnie otuliłem się swoim skórzastym płaszczem.

Kiedy się obudziłem, łuk był już gotów. George owinął cięciwę wokół krótkiego kijka i teraz eksperymentalnie poruszał łukiem, wprawiając kij w szybki ruch obrotowy. W przyćmionym blasku zielonkawego światła każdy jego gest stawał się zaskakująco delikatny, niemal zmysłowy. Głęboko w lędźwiach poczułem niepokojące swędzenie.

Uświadomiłem sobie, że powinienem być przerażony. Czy można zasnąć we śnie? Jednak strach jakoś nie chciał nadejść, a swędzenie w lędźwiach przeistoczyło się w nieco inne, jednoznacznie nieprzyjemne doznanie: ucisk pełnego pęcherza. Wygramoliłem się z kąta, starłem z oczu resztki snu, po czym wylazłem z "chatki".

I wtedy zaczęły się prawdziwe problemy.

Najogólniej mówiąc, penis latającego lemura nieszczęśliwie rzuca się w oczy, nawet w stanie wzwodu. Przez prawie pięć minut szukałem cholernika, a kiedy go wreszcie znalazłem, nie byłem w stanie porządnie go chwycić. Kiedy wreszcie z ulgą oddałem mocz, znaczna jego część spływała mi po palcach. Jeśli chodzi o pozostałe potrzeby... Cóż, miałem porośnięty sierścią zadek i mnóstwo liści zamiast papieru toaletowego. Nie było natomiast bieżącej wody.

Jednak nawet lemury miewają chwile radości. Kiedy było już po wszystkim, odbiłem się z całej siły i poszybowałem wśród gałęzi naszego drzewoświata. Pęd powietrza wypełnił mi żagle. Wydawało mi się, że jeśli zdołam chwycić podmuch przeciwnego wiatru, będę mógł zawisnąć w powietrzu jak mewa, otoczony blaskiem komety i zapachami lasu.

Słońce wciąż trwało bez ruchu na niebie. Nie było tu ani dni, ani nocy. George i na ten temat miał swoją teorię.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy byli na Ziemi. Przypuszczam, że oni...

- Kto taki?

- Budowniczości. Ci, którzy nas zrekonstruowali.

Podejrzewam, że przygotowali to miejsce specjalnie dla nas.

- W takim razie dlaczego nie ma dni ani nocy?

Przez chwilę z namysłem grzebał palcem w nosie.

- Po prostu nie przyszło im to do głowy. Widzi pan, długo po naszych czasach ruch wirowy Ziemi stawał się coraz wolniejszy, aż wreszcie Słońce w ogóle przestało wędrować po

niebie.

- Ale Budowniczkowie z pewnością wiedzą, że za naszego życia było inaczej!

- Panie Beard, dla nich to zamierzchła przeszłość. Z pewnością znał pan wielu ludzi, którzy myśleli, że Aleksander Macedoński i Juliusz Cezar żyli mniej więcej w tym samym czasie, a przecież dzieliły ich setki lat.

- A więc to aż tak dawno?... - wyszeptalem i sierść zjeżyła mi się na ramionach. Natychmiast przyglądziłem ją odruchowo. George zafascynowany przyglądał się, jak mięśnie pracują pod moją skórą; nagle jakby oprzytomniał i, zażenowany, pospiesznie odwrócił wzrok. - Dlaczego po prostu nie odstawili nas na Ziemię? A może jest już niezdatna do zamieszkania, jak myślisz? Efekt cieplarniany, niksująca warstwa ozonu i tak dalej...

George roześmiał się, po czym zatrzepotał błonami lotnymi.

- Panie Beard, obawiam się, że zarówno efekt cieplarniany, jak i problemy z warstwą ozonu dołączyły do Niniwy i Tyru.

- Do czego?

- Nieważne. Słońce zużyło cały zapas wodoru i zamieniło się w tę gigantyczną rozdętą kulę, która wisi nad naszymi głowami. Jak tylko jej zewnętrzna warstwa dotarła do orbity Ziemi, nasza planeta - a raczej jej smutne, wyżarzone resztki - podzieliła los Merkurego i Wenus. Później przyszła kolej na następne planety. Już ich nie ma.

Spojrzałem w górę.

- To trochę zmienia obraz sytuacji, prawda, George?

- Owszem. Jesteśmy bardzo daleko od domu.

Mijała godzina za godziną.

Postanowiłem zapuścić się w głąb korony drzewa. Jak tylko pochłonął mnie zielonkawy półmrok, sierść zjeżyła mi się na grzbiecie, ale wśród niezliczonych poskręcanych gałęzi i konarów nie było żywego ducha; ani ptaków, ani nawet owadów. Zastanawiałem się, w jaki sposób drzewo utrzymuje się przy życiu; czyżby mógł istnieć ekosystem złożony tylko z jednego organizmu?

Wreszcie dotarłem do najniższych gałęzi i zawisłem głową w dół jakieś 15 metrów nad ziemią. Od pnia dzieliło mnie co najmniej sto metrów. Natychmiast ruszyłem w jego kierunku.

Pień miał około dwóch metrów średnicy. (Trochę trudno było to ocenić, ale wydawało mi się, że George i ja mierzymy po jakieś trzydzieści centymetrów.) W grubej, pofałdowanej korze było mnóstwo szerokich szczelin, dzięki czemu zejście na dół nie nastreczyło mi żadnych trudności. Tuż nad ziemią zatrzymałem się, odwróciłem głową do góry, po czym, jak maleńki, małpiatkowaty Neil Armstrong, ostrożnie postawiłem stopę na brązowych, szeleszczących liściach wielkości moich błon lotnych. Grunt pod nimi był miękki, wilgotny i ciepły,

jak kompost.

Zrobiłem krok, drugi... i z przeraźliwym piskiem runąłem na twarz. Natychmiast się podniosłem i spróbowałem ponownie, lecz tym razem przewróciłem się na plecy. Moje drobne, gibkie ciało nie było w stanie utrzymać pozycji pionowej. Musiałem poruszać się na czworaka, jak zwierzę... którym przecież byłem.

Ogarnięty wściekłością, zacząłem biegać w kółko, drzeć przednimi łapkami zeschnięte liście, wyrzucać je w powietrze i skrzeczeć bez opamiętania. Wreszcie, wyczerpany i zasapany, oparłem się grzbietem o pień.

Gdzieś daleko, z góry, dobiegł szeleszczący odgłos; to krople deszczu uderzały w liście i gałęzie na szczycie drzewa. Kilka minut później kilka z nich kapnęło mi na twarz; woda była czysta i pachniała świeżymi liśćmi.

Nie zauważyłem innych drzew, śladów zwierząt, jakichkolwiek roślin - nic, tylko pokryta grubą warstwą liści równina, niknąca w oddali w zielonkawym półmroku. Otrzeptałem się, wybrałem na chybił trafił kierunek, po czym spokojnym krokiem ruszyłem naprzód. Po przebyciu około stu metrów pień prawie znikł mi z oczu, mnie zaś ogarnęło potworne przerażenie. Czym prędzej zawróciłem, pogałęm z powrotem i przywarłem całym ciałem do brązowej kory.

Kilka minut później spróbowałem ponownie. Tym razem zatrzymałem się co dziesięć metrów, żeby zostawić ślad w postaci wysokiego kopca liści. Po pewnym czasie trasę mojej wędrówki znaczył długi szereg liściastych pagórków; kiedy straciłem pień z oczu, znowu ogarnęła mnie panika, ale tym razem nie zawróciłem. Zagrzebałem się w kompoście, nakryłem głowę płaszczem, zaczekałem, aż strach minie, po czym wygramoliłem się na powierzchnię i kontynuowałem wędrówkę, zadowolony, że nikt mnie nie widzi.

Miałem poważne problemy z mierzeniem upływu czasu, wydaje mi się jednak, że minęło kilka godzin, zanim dotarłem do drugiego drzewa. W pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że wróciłem do punktu wyjścia, ale obiegłem pień dookoła i nie znalazłem moich kopczyków. Bojaźliwie rozpocząłem wspinaczkę ku wierzchołkowi.

Rozdęte słońce oraz jądro komety były zasłonięte przez drzewoświat, ale na niebie lśnił warkocz komety, rozjaśniając je blaskiem tysiąca startych na pył księżyców. A więc znalazłem się po drugiej stronie świata, lecz nikogo nie znalazłem: ani ludzi-lemurów, ani żadnych superstworzeń.

Ani odpowiedzi.

Schodząc z drzewa, z wściekłością szarpałem mniejszymi gałęziami. Jak tylko znalazłem się z powrotem na ziemi, wyruszyłem w dalszą drogę, zostawiając za sobą piramidki liści. Kilka godzin później ujrzałem przed sobą kolejny pień, tym razem nieco w lewo od mego szlaku. Zaraz za nim zaczynał się rząd nieco spłaszczonych przez deszcz kopczyków. Obszedłem świat dookoła.

Potem jeszcze kilka razy powtórzyłem swój wyczyn, co pozwoliło mi stwierdzić, że zostałem uwięziony na planetce o średnicy najwyżej kilometra, na której po przeciwnych stronach rosną dwa drzewa (albo jedno o bliźniaczych pniach). Miniaturowy glob był otoczony grubym płaszczem konarów i liści. Moje ustalenia ogromnie zaintrygowały George'a; natychmiast zaczął się zastanawiać, skąd się bierze grawitacja. Czyżby czarna dziura ukryta w jądrze planety?

Mnie to zupełnie nie obchodziło. Godzinami nie robiłem nic innego, tylko wspinałem się na najwyższe gałęzie, szybowałem najdalej jak się dało, wspinałem się ponownie, wykonywałem kolejny skok i tak bez końca. Dokładnie poznałem swoje więzienie; oprócz mnie mieszkał w nim tylko George. Nie było stąd wyjścia ani nawet nikogo, kto by mi powiedział, dlaczego się tu znalazłem.

Wbiłem pazury w korę i zacząłem krzyczeć co sił w płucach.

- Przyznaj się, George - powiedziałem, przeżuwając młode listki. - Ta twoja teoria o klonowaniu z fragmentów paznokcia to bzdura, prawda?

Westchnął ciężko, zgarbiony nad swoim najnowszym dziełem: kawałkiem drewna, w którym wiercił dziurę ostro zakończonym patykiem.

- Może i tak, ale skąd mam wiedzieć?

- Gdybym był klonem, byłbym dokładną kopią, ale jednocześnie całkiem inną osobą. Nie miałbym żadnych wspomnień Phila Bearda. Tymczasem jestem nim, tyle że wepchnięty w ciało jakiejś cholerycznej małpiatki. - Rozprostowałem żagle i potrząsałem nimi ze złością. - Widzisz?

- Być może Budowniczkowie znają sposoby, o jakich nawet nam się nie śniło - wyszeptał George. - Może dusze też tworzą skamieliny, tyle że w innej, niewidzialnej warstwie osadów?

Zmarszczyłem brwi.

- Chcesz powiedzieć, że oddzielnie rekonstruuja ciała i dusze, po czym składają je w całość?

- Coś w tym rodzaju.

Poderwałem się z miejsca i zacząłem wymachiwać pięściami.

- Ale dlaczego właśnie my? Dlaczego ja? - Opuścił głowę, nawet nie próbując odpowiedzieć na moje pytania. - Dlaczego zrobili z nas jakieś choleryczne małpiatki zamiast dać nam ludzkie ciała? I dlaczego nie zrekonstruowali Londynu, tylko tę przeklętą dżunglę?

Potał pyszczek dłońmi.

- Jeżeli o to chodzi, to mam na ten temat pewną teorię...

- Oczywiście.

Podniósł głowę i spojrzał na mnie.

- Wszystko przez tę przepaść czasową, panie Beard. Ludzkie DNA tylko nieznacznie różni się od DNA szympanсів i goryli. Różnica między ludźmi a pierwszymi naczelnymi, jakie pojawiły się na Ziemi, jest z pewnością nieco większa, ale to wcale nie

oznacza, że duża.

- Od kiedy to latające lemury są pierwszymi naczelnymi, jakie pojawiły się na Ziemi?

- Nie lemury, lecz ich protoplaści, ogromnie do nich podobni. Proszę pamiętać, że to tylko teoria. Tamte "lemury" wykształciły chwytne ręce i doskonały wzrok, by sprawniej szybować z miejsca na miejsce. Później wykorzystywały sprawne palce do wytwarzania narzędzi.

Potrząsnąłem głową.

- Mówiąc wprost, Budowniczywie usiłowali odtworzyć ludzkie DNA, ale nie bardzo im się to udało, tak?

- W ponad dziewięćdziesięciu procentach. To całkiem niezły rezultat. Jesteśmy przecież stworzeniami z zamierzchłej przeszłości.

Wrzeszcząc wniebogłosy, przez minutę albo dwie miotalem się po wierzchołku drzewa.

- Ale to wciąż tylko domysły, George! - wysapałem, kiedy atak wściekłości minął. - Kilka razy okrążyłem tę cholerną planetkę i zapewniam cię, że oprócz nas dwóch nie ma na niej nikogo! Niczego nie wiesz, George! - Rzuciłem w niego gałązkami i poszarpanymi liśćmi. - Niczego nie wiesz!

Zasłoniwszy twarz, bez słowa kołysał się do przodu i do tyłu. Mój gniew niespodziewanie ustąpił miejsca wstydowi i zakłopotaniu. Przykucnąłem przed nim i szturchnąłem go w łokieć.

- George, daj spokój.

Spojrzał na mnie mokrymi od łez oczami.

- Przepraszam...

- To ja cię przepraszam, George.

- Bardzo tęsknię za żoną.

Opadła mi szczęka.

- Nie wiedziałem, że byłeś żonaty.

Wzruszył ramionami, po czym znowu schował twarz w dłoniach.

- Mielście dzieci?

Pokręcił głową.

Nieśmiało pogłaskałem go po przedramieniu. Miał ciepłą, delikatną skórę, moja ręka przyjemnie ślizgała się po jedwabistej sierści. Ponownie poczułem niepokojące swędzenie w okolicy krocza i natychmiast cofnąłem rękę.

- Mój Boże! Jesteś samicą, prawda?

Żałośnie skinął głową.

- Jeszcze jedna, drobna pomyłka Budowniczych. Jakbym i bez tego nie miał dosyć kłopotów.

Odsunąłem się od niego.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że to całkowicie zmienia płaszczyznę naszych wzajemnych stosunków?

Wyprostował się, otarł oczy, a następnie wziął do rąk swoje prymitywne narzędzia.

- Wolalbym nie rozmawiać na ten temat - powiedział i

ponownie przystąpił do powolnego wiercenia otworu w większym kawałku drewna.

Długo skakałem jak szalony po gałęziach, usiłując zapomnieć o niepokojących sygnałach dochodzących z mojego podbrzusza.

George wypełnił zagłębienie pokruszonymi suchymi liśćmi, owinał cięciwę łuku wokół cienkiego patyka, wsadził jego koniec w liście, po czym zaczął cierpliwie poruszać łukiem, wprawiając patyk w szybki ruch obrotowy. Obserwowałem jego poczynania spod półprzymkniętych powiek.

- Pomyśl tylko: wszystko znikło... - wymamrotałem leniwie.

- To znaczy co?

- No, wszystko. Beethoven, Mozart... Tylko my dwaj jeszcze o nich pamiętamy.

Otarł czoło i spojrzał na świecąca jasno kometa.

- Moim zdaniem, właśnie dlatego się tu znaleźliśmy.

Przypuszczalnie stanowiliśmy, razem z całą ludzkością, jedno z najbardziej niezwykłych zjawisk w historii naszego Układu Słonecznego i dlatego zostaliśmy odtworzeni. Jako świadkowie.

- A co z muzyką, której nie zdążyliśmy wysłuchać, i z książkami, których nie zdążyliśmy przeczytać? Też znikły, jakby nigdy nie istniały. - Czułem się maleńki i kruchy, moje słowa tworzyły cienką skorupę wokół lodowatej samotności. - Albo te wszystkie bzdury, które nas otaczały... Kościół Świętych Dnia Ostatniego, Ruch Na Rzecz Odnowy Gatunku... Też ich nie ma. Dobry Boże, George! Oprócz nas nie ma nikogo, kto by pamiętał "Born Too Late" Ponytailsów!

- Nawet ja tego nie pamiętam - przyznał, nie przerywając pracy.

- Chciałbym zobaczyć, jak Budowniczości zabiorą się do rekonstrukcji Ponytailsów! - Uśmiechnąłem się z satysfakcją.

- Przynajmniej wiem, że nie postradałem zmysłów. Żaden wariat nie byłby w stanie wyobrazić sobie czegoś takiego jak The Ponytails. George, albo mi się zdaje, albo czuję...

Z wypełnionego suchymi liśćmi wgłębienia unosiła się smużka dymu.

- Udało się! - westchnął George.

Długo, bardzo długo wpatrywaliśmy się w nią, nieruchomi jak posągi, a potem George rozpostarł płaszcz i zamachał nim we wszystkich sił. Buchnął jeszcze gęściejszy dym, ja zaś jak szalony zacząłem dorzucać zeschnięte liście, klnąc, kiedy kruszyły się i przesypywały między moimi palcami.

Wreszcie pojawił się pierwszy nieśmiały płomień.

Odańczyliśmy dziki taniec radości.

Zaraz potem zaczęło padać.

Z niedowierzaniem spojrzałem w niebo, na niedużą, ale bardzo ciemną chmurę, która nie wiadomo skąd pojawiła się na tle ciemnoczerwonej słonecznej tarczy. Przez kilka sekund maleńki płomień, wściekle sycząc, walczył o przetrwanie, ale

wkrótce została po nim tylko garść mokrego popiołu.

George bez słowa skulił się i otulił płaszczem, ja natomiast pogroziłem niebu pięścią.

- Dlaczego nam to robicie? Przecież byliśmy od dawna martwi. Dlaczego nie zostawiliście nas w spokoju?

Rzecz jasna, nie otrzymałem odpowiedzi. Chyba dopiero w tej chwili zrozumiałem, że to wszystko dzieje się naprawdę, że zostanę tu na zawsze, że nikt mi nigdy nie odpowie. Wydarzenia, które nastąpiły zaraz potem, pamiętam jak przez mgłę.

W napadzie szału rozrzuciłem smutne resztki ogniska, powybijałem dziury w ścianach naszej chatki, usiłowałem zedrzeć pazurami korę z gałęzi naszego drzewoświata, nawet poszybowałem w dół i rozdeptałem kilka usypanych przez siebie kopczyków, tarzałem się w liściach, wyjąc jak opętany i kalecząc swoje ciało. Wreszcie, wyczerpany i zakrwawiony, wspiąłem się z powrotem na wierzchołek, chwyciłem się gałęzi stopami, okręciłem się kilka razy wokół niej - umierające słońce, znieawidzone drzewo i jaskrawa kometa zawirowały wokół mnie - po czym zwolniłem uchwyt i pomknąłem w górę. U szczytu trajektorii znieruchomiałem na sekundę w powietrzu z ustami szeroko otwartymi do niemego krzyku i z wyprostowanymi kończynami; kometa świeciła mi w oczy, jaśniej niż kiedykolwiek.

Skuliłem się w kłębek.

Spadałem jak kamień, marząc o tym, by upaść i już nigdy się nie podnieść.

Kiedy się ocknąłem, leżałem na wznak, wpatrzony w rozdęte słońce. George pochylał się nade mną z zatroskaną miną.

Spróbowałem się uśmiechnąć. Coś popękało mi w kącikach ust; zaschnięta krew?

- Nie udało się, prawda? - wyszeptalem.

Wzruszył ramionami, jakby nieco zażenowany.

- Jest pan za lekki, panie Beard. Bardzo mi przykro. Po prostu spadał pan zbyt wolno, choć muszę przyznać, że narobił pan mnóstwo hałasu.

Spróbowałem się podnieść; George schylił się i podparł mnie ramieniem.

- Wybacz, że narobiłem ci kłopotu.

- Najważniejsze, że nic się panu nie stało. - Przycupnął obok mnie z przechyloną głową. W czerwonym i srebrzystym blasku jego twarz lśniła jak moneta. - Podejrzewam, że to za chwilę się zdarzy. Byłoby fatalnie, gdyby to pana ominęło.

- O czym mówisz?

- O tym, co Budowniczości postanowili nam pokazać. Właśnie w tym celu nas zrekonstruowali. Żebyśmy zobaczyli. Kometa świeci coraz jaśniej, więc jestem prawie pewien, że zbliżamy się do punktu kulminacyjnego.

Przyniósł trochę owoców, po czym usiedliśmy obok siebie na gałęzi, wpatrzeni w kometa z ogonem rozwianym jak flaga na

wietrze.

Wszystko wydarzyło się błyskawicznie, bez uprzedzenia.

Kometa urosła raptownie, po czym eksplodowała, zalewając niebo, drzewoświat i nas upiornym srebrzystym blaskiem. Wrzasnęliśmy z przerażenia, daliśmy susa pod liście, nakryliśmy się na głowy naszymi płaszczami i przez wąskie szparki zerkaliśmy ostrożnie w niebo, na którym rozpętało się piekło. Po kilku minutach przeraźliwy blask nieco przygasł. Na niebie pozostały półprzezroczyste rozwleczone smugi, żarzące się różowo w poświacie konającego słońca. Tam, gdzie jeszcze niedawno świeciło jądro komety, poruszało się niemrawo kilka punkcików.

Drżąc z przerażenia, przytuliliśmy się do siebie.

- Co to było, do diabła? - wyszeptałem.

- Śmierć komety - odparł George równie cicho. - Słońce pożarło już planety, a teraz rozrosło się do takich rozmiarów, że niszczy przelatujące w pobliżu komety. Wkrótce będzie otoczone grubą warstwą cząsteczek wody; już za naszych czasów astronomowie znajdowali w widmie czerwonych olbrzymów dowody na to, że jest tam sporo wody... - Otulił się szczelniej płaszczem. - To ostateczna śmierć Układu Słonecznego. Budowniczo wie zrekonstruowali nas, żebyśmy mogli ujrzeć ją na własne oczy.

Już tylko czerwono-brunatna poświata przyćmiewała blask gwiazd; gdzieś tam pojawiły się obiekty jaśniejsze niż gwiazdy - czerwone i zielonkawe plamki przypominające różnobarwne zabawki.

- Jak myślisz, co to może być? - zapytałem George'a. -

Inni obserwatorzy, tacy jak my?

Wzruszył tylko ramionami, ja zaś wpatrywałem się w tajemnicze zjawiska i rozmyślałem, jakież to zagadkowe, zdumione i przerażone jak my istoty kryją się za zasłoną wzburzonego nieba.

- No cóż - George przerwał przedłużające się milczenie. -

Co będziemy teraz robić?

Wzruszyłem ramionami i zacząłem się bawić rosnącym w pobliżu liściem.

- To zależy, ile czasu nam jeszcze zostało. Jak myślisz, kiedy i nas pożre słońce?

- Wątpię, żeby nam to groziło - odparł po krótkim namyśle.

- Najprawdopodobniej zapewniono nam odpowiednią osłonę, bo w przeciwnym razie już teraz nasza planetka wyschłaby na popiół. Możliwe więc, że mamy wiele lat, może nawet stuleci. Wątpię, żeby Budowniczych choć trochę obchodziło, co robimy.

Pociągnąłem nosem. Teraz, kiedy zabrakło blasku komety, odniosłem wrażenie, że zrobiło się chłodniej.

- Na początek chyba trzeba będzie naprawić dom.

- Dysponując ogniem, możemy wiele osiągnąć - ciągnął George. - Będziemy w stanie wykonać narzędzia z utwardzonego drewna, usunąć wierzchnią warstwę gleby, dokopać się do skały,

w której mogą się znajdować na przykład złoża rud metali...

- Powinniśmy też pomyśleć nad jakimś substytutem papieru - wpadłem mu w słowo. - Niezła będzie kora albo wysuszona papka z przeżutego drewna. Trzeba wszystko zapisywać, żeby coś po nas zostało. - Wskazałem kolorowe dyski na niebie. - Kiedyś nasze dzieci polecą tam, daleko, i nawiążą kontakt z innymi ofiarami Budowniczych. Kto wie, może zmierzą się z samymi Budowniczymi? Muszą znać naszą historię.

George podrapał się za uchem.

- Jakie dzieci?

- Wydaje mi się, George, że powinniśmy omówić parę spraw...

To wcale nie było łatwe. Przeszkadzały nam te cholerne błony lotne, za pierwszym razem moje wrażenia ograniczyły się do ogromnej ulgi, jakbym wreszcie podrapał się w swędzące miejsce, a poza tym obaj czuliśmy się potwornie głupio.

Potem jednak było już coraz lepiej, ja zaś wprost nie mogłem uwierzyć, jak szybko rosną dzieci.

Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik

STEPHEN BAXTER

Urodził się w roku 1957, dzieciństwo spędził w Liverpoolu, studiował matematykę w Cambridge, doktoryzował się w Southampton. Obecnie mieszka w Anglii, w hrabstwie Buckingham i zajmuje się wyłącznie pisaniem. Debiutował na łamach magazynu "Interzone" opowiadaniem "The Xeelee Flower". Jest autorem siedmiu powieści SF i ponad pięćdziesięciu opowiadań, laureatem m.in. Nagrody im. Philipa K. Dicka, Nagrody im. Johna W. Campbella, niemieckiej Nagrody im. Kurta Lasswitza oraz japońskiej Nagrody Seiun.

(anak)